Nr. 21. Lwów, dnia 20. Lipca 1888 r. Rok I.



Pismo poświęcone powieściom, romansom, nowellom i wspomnieniom.

Prenumerata wynosi w Galicyi: Rocznie 6 złr., półrocznie 3 złr. kwart. 1 zł. 50 ct., mies. 50 ct. Skład w drukarni W. Manieckiego Lwów. | W Księstwie Poznańskiem: Rocznie 12 marek, półrocznie 6 marek ćwierćrocz. 3 m., miesięcz. 1 m. Skład w Poznaniu u J. Leitgebra i Ski

Wydawca: **Józef Rogosz.** — Redakcya i Administracja *„Wieczorów zimowych“* w drukarni nar. W. Manieckiego ul. Kopernika l. 7 we Lwowie.

„Wieczory zimowe“ wychodzą we Lwowie trzy razy na miesiąc, a mianowicie: każdego 1-go. 10-go i 20-go.

W ŚMIERTELNYCH ZAPASACH

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

osnuta na tle stosunków Wielkopolskich

przez

JÓZEFA ROGOSZA.

(Ciąg dalszy)

XXV.

Br. Fryderyk Zarnecke mieszkał we dworze komarowskim na pierwszem piętrze. Brat jego młodszy i właściwy dziedzic Komarowa, zajmował cały apartament na dole

Br. Fryderyk miał siedm pokojów, lecz mieszkał tylko w jednym i do tego najmniejszym, w którym jego łóżko stało. W sześciu innych, między niemi były dwie sale, jedna ogromna, druga trochę mniejsza, znajdowały się najrozmaitsze przedmioty, jakby w jakiem muzeum. Na ścianach wisiały obrazy starych mistrzów, w szafach na środku stojących widać było książki, ryciny, albumy i przeróżne wykopaliska, których nazwy i użytek mogły być znane ledwie bardzo biegłemu archeologowi, nakoniec w szkatułkach leżących to na krzesłach to na stolikach, ukrywały się rzadkie numizmaty, drogie kamee i różne klejnoty. Porządku nie było żadnego. Przeciwnie wszędzie panował wielki bezład, w którym prawdopodobnie sam tylko właściciel umiał się orjentować. Kto tu dłuższy czas pobył, ten pewnie się nie dziwił, czemu br. Fryderyk rozwiódł się ze żoną, gdy ta nieproszona zaczęła wprowadzać ład do jego apartamentu.

Był on tak samo bogaty, jak jego brat młodszy, ale na cenne dzieła sztuki i zabytki starożytności, nie mało poszło fortuny. Drugi na jego miejscu byłby się może całkiem zrujnował, wszelako on, mimo namiętności, która go pożerała, gdy chwila stanowcza nadeszła, umiał się okazać praktycznym. Za poradą brata, oddał mu resztę majątku do dyspozycji i razem ze zbiorami wyprowadził się natychmiast z Berlina do Komarowa, która to wieś w czwartej części jeszcze i do niego należała.

Odtąd żył jak pustelnik. Nigdzie nie wyjeżdżał, gdyż bał się, by go jaki numizmat znowu nie skorcił; rzadko kiedy z domu wychodził, nawet u braterstwa czasem po kilka dni się nie pokazywał. Stołował się u siebie. Na piętrze miał kuchnię osobną. Obowiązki kucharza i lokaja pełnił w jednej osobie stary Wenzel, który u niego służył lat przeszło dwadzieścia. Znali się oni dobrze, lubili i nawzajem szanowali. To, że się osobno stołował, nie wypływało u niego tyle z dziwactwa, ile z potrzeby. Jako katolik miał swoje zwyczaje, posty i święta, których brat jego, odkąd na protestantyzm przeszedł, nie uznawał. Aby więc bratowej nie sprawiać subjekcji, bratu zaś odjąć sposobność do robienia uwag złośliwych, czasem nawet grubjańskich, wolał osobną kuchnię prowadzić.

Rozrachunek między braćmi był łatwy i prosty. Za wszystko, z czego br. Fryderyk korzystał, począwszy od mieszkania, a skończywszy na używaniu ogrodu, po którym się przechadzał i na kąpaniu się w łazience, musiał uiszczać kwotę z góry umówioną. Prócz tego na każdy artykuł bez

wyjątku, którego do kuchni potrzebował, wystawiał kwit własnoręczny. Na kwitach była codzień notowana cena targowa. Poza tem wydatki jego osobiste były nadzwyczaj małe, gdyż potrzebował tylko myśleć o Wenzlu i o swojej garderobie. Cygarów nie palił, wina całkiem nie pijał Przy końcu roku, brat Maurycy przedkładał mu szczegółowy rachunek z jego majątku, którym obracał i od dochodu to potrącał, co mu Fryderyk był winien za swoje utrzymanie. Rachunek przez urzędników według wszelkich form prowadzony, był zawsze tak dokładny, że w nim nigdy ani feniga nie brakowało. Dzięki temu stosunkowi br. Fryderyk po upływie kilku lat uregulował swoje interesa, i dziś, jak to już słyszeliśmy z ust br. Maurycego, majątek jego wynosił znowu 150,000 talarów. Lecz nie jedna tylko oszczędność dokazała tej rzeczy. Może jeszcze większą zasługę niż on sam miał w tem brat jego, gdyż majątkiem, który mu w zaufaniu został powierzony, jako zdolny i sumienny finansista, znakomicie obracał. Mogli się oni nie lubieć, starszy nazywał młodszego odstępcą, młodszy o starszym wyrażał się jak o jakim warjacie, służba utrzymywała, że nieraz dobrze się nawet cięli, zwłaszcza ilekroć przyszła na tapet jaka kwestja religijna, lecz mimo to w sprawach finansowych postępowali spokojnie, zgodnie i uczciwie. Każdy rozumiał swój interes i jeden drugiemu nigdy nie szkodził. Pieniądz nie mógł by ich poróżnić, ponieważ ani jeden ani drugi nigdy więcej nie żądał, niż mu się słusznie należało.

W dni kilka po bytności Silbera w Trzcińcu i w Komarowie, br. Fryderyk przechadzał się o rannej godzinie po swojej sypialni, mając głowę zwieszoną, a ręce w tył założone Wenzel kończył porządki. Nagle pan jego przed nim się zatrzymał i rzekł:

— Wiesz co stary, jabym jutro chciał do miasta pojechać.

Służący zwrócił na niego wzrok zdziwiony.

— Przestraszyłeś się stary? No, no, nie bój się... Nie pojadę ani do Berlina, ani nawet do Wrocławia, tylko do naszego miasteczka powiatowego. Muszę sobie u krawca zamówić jaki surdut, bo się boję, że bez żadnego zostanę. A i ty także będziesz zapewne nowego ubrania potrzebował.

— Mnie proszę pana barona nie potrzeba. Mój garnitur jeszcze nowy... Szkoda pieniędzy!

To powiedziawszy, Wenzel spojrzał po swojem czarnem ubraniu, które było tak wytarte, że wydawało się jakby atłasowe. Baron uśmiechnął się na tę uwagę.

— No, no, kupię sobie i tobie—rzekł —Wszak już rok, jakem nic nie sprawiał. Powiedz więc stary panu baronowi, że jutro pojadę.

— A czem pan baron chce jechać?

— Czem? Przecie nie tobą, tylko końmi i powozem.

Wenzel skrzywił się nieznacznie, jak po zażyciu gorzkiego lekarstwa.

— Nie podoba ci się stary?

— Jakby mi się mogło nie podobać, kiedy pan baron tak chce Ale pan baron zapewne nie wie, bo już piętnaście miesięcy minęło, jak pan baron ostatni raz wyjeżdżał, że my na ten rok mamy nową taryfę.

— Jak wysoką?

— Za powóz i parę koni, czy to do miasta, czy na kolej, pięć talarów, za zwykły wózek trzy talary.

— Wysoka taryfa, rzeczywiście wysoka! — baron mruknął. — Jak widzę pan brat w swojej protestanckiej oszczędności zaszedł aż tak daleko, że chciałby by rozrzutny katolik tylko pieszo chodził... Jak mi więc radzisz, Wenzel, czem jechać, powozem czy wózkiem?

Kucharz milczał, ale za to tak poglądał na swego pana, że ten mógł łatwo z twarzy jego myśli wyczytać. Wenzel, który do barona był całą duszą przywiązany, prócz niego bowiem, nie miał więcej nikogo na świecie, ani żony, ani dzieci, ani krewnych, chciał by pan jego był zawsze oszczędny, gdyż w pamięci dobrze mu tkwiły owe chwile, kiedy to baron, aby się od ruiny ratować, ożenił za poradą brata. Wenzel był temu małżeństwu bardzo wtedy przeciwny, gdyż bał się, aby baronowa nie oziębiła serdecznego stosunku, łączącego jej męża z starym sługą. Wprawdzie wtedy to nie nastąpiło. pan jego bowiem prędko nie rozwiódł, lecz czy nie mogłoby do tego przyjść za drugim razem, jeżliby baron zapomniał o oszczędności i znowu aby się ratować, musiał się ożenić?

Baron spoglądał na Wenzla, a że znał go doskonale, więc też zaraz odgadł jego myśli.

— Nie bój się stary, nie bój, nie będę ja nigdy marnotrawcą i drugi raz z pewnością się nie ożenię... Pięć talarów za powóz drogo, trzy za wozek także drogo.

— Pewnie że trzy talary za wózek drogo — służący wpadł mu w słowo — ale co robić, skoro czem innem jechać nie można?

— Jakto nie można? A przecie codzień rano odchodzi z nabiałem wóz do miasta. Na koziołku są dwa siedzenia.

— Czyżby pan baron chciał...

Stary Wenzel tak był zdziwiony, że nie wiedział co dalej mówić. Wszak ponoś zamierzał baron jego samego w oszczędności przesadzić.

— Nie tylko chcę, ale nawet pojadę, bo nie zapłacę ani talara. Skoro wydaliśmy krocie, więc teraz musimy oszczędzać się, mój przyjacielu, byśmy się drugi raz nie potrzebowali żenić.

Chociaż słowa ostatnie, mile połechtały ucho Wenzla, dzięki czemu usta mu się uśmiechały i twarz rozpromieniła, mimo to przez sam szacunek dla stanowiska, jakie pan jego w społeczeństwie

zajmował, starał się go odwieźć od dziwacznego postanowienia. Bo gdzie kto słyszał, żeby baron jeździł razem z mleczarzem, jak prosty „furszpan“? Wszakże usiłowania jego okazały się bezskuteczne. Baron stanowczo powiedział, że nazajutrz do dnia pojedzie z mleczarzem, którego kazał o tem zaraz uwiadomić.

Właśnie gdy Wenzel sypialnię swego pana opuszczał, wszedł do niej baron Maurycy. Bracia przywitali się grzecznie, choć chłodno, a że młodszy nigdy tu bez interesu nie przychodził, więc też starszy zwrócił nań zaraz wzrok pytający.

Ponieważ Maurycy nie miał nigdy czasu do stracenia, a najmniej już teraz, gdy za pół godziny miał być w kantorze, gdzie go liczni interesanci niecierpliwie wyglądali, przeto niezwłocznie przystąpił do interesu. W słowach tedy jasnych a treściwych zapoznał Fryderyka ze swemi planami finansowemi, które, jak wiemy, obejmowały Ujście Leśne. Przyzwyczajony do jasnego przedstawiania rzeczy, otwarcie wyznał, że skoro hr. Wągrowiecki bankrutuje, więc bez wahania powinien by po nim kupić Ujście Leśne, co też niewątpliwie uczyni, jeżli on, Fryderyk, z całym swoim majątkiem do spółki przystąpi.

— Później — kończył — albo byś za swoje pieniądze część ziemi objął na własność, bądź też jabym ci zwrócił cały kapitał, z doliczeniem udziału w zyskach. W każdym razie jest to interes świetny, którym fortunę można rychło potroić.

Fryderyk wysłuchał spokojnie, a gdy brat skończył, zapytał:

— Czy o Trzcińcu przestałeś już myśleć?

— Zkąd ci Trzciniec do głowy przyszedł?

— Bo nie raz słyszałem od ciebie, że to majątek dobry, który powinienby być z Genseldorfem złączony. Prócz tego wiem, że Miliński źle stoi, nakoniec widziałem tu także niedawno wielce szanownego Silbera, który z pewnością nie przyjeżdża dla pięknych twoich oczu.

— Dajmy Trzcińcowi pokój, to dziś do rzeczy nie należy! — odparł brat szorstko. — Jeżeli Miliński zbankrutuje, potrafię jego majątek sam kupić i z pewnością nie będę szukał spólnika. Z Ujściem rzecz inna... tam potrzeba wielkich kapitałów i wielkiego kredytu.

Fryderyk wstał i ręce w tył założywszy, zaczął przechadzać się krokiem miarowym. Brat tymczasem na dawnem miejscu siedząc wodził za nim wzrokiem badawczym i na odpowiedź czekał. Trwało to kilka minut. Nareszcie pierwszy stanął i rzekł jakby do siebie:

— Ja do takich interesów nie chcę należeć!

— Czemu?

— Czemu? — powtórzył, na brata wzrok podnosząc. — Dla tego, że ten interes uważam za brudny.

— Fryderyku!

— Nie gniewaj się, Maurycy, bo nie ma o co. Przecie znając mnie nie od dziś, wiesz doskonale, że pod bardzo wielu względami nasze zapatrywania djametralnie od siebie odbiegają. Wszak nie możemy nawet w tem się zgodzić — dodał z uśmiechem ironicznym — jak należy Boga chwalić. Ty naprzykład, pożyczanie pieniędzy z jednej strony hrabiemu, z drugiej Milińskiemu, by tem łatwiej i pewniej kupić potem ich majątki, uważasz za nic więcej, jak za prosty interes, ja zaś ośmieliłbym się nazwać to podstępem, niegodnym ludzi honorowych!

— Ależ Fryderyku! — krzyknął brat porywczo — nie zrobimy my, zrobi kto inny!

— Niech robi Silber i jemu podobni, byle nie baronowie Zarnecke!

— Dziwak z ciebie skończony! — zawołał Maurycy powstając. — Gdyby wszyscy według twego widzimisię postępowali, wtedy o dobrych interesach nawet by mówić nie można. Zechciej się mój Fryderyku tylko nad tem zastanowić, że jedynie ten robi korzystne interesa, kto w chwili stosownej umie z cudzych błędów korzystać, każdy zysk bowiem jest z cudzą stratą połączony

— Może i masz rację — Fryderyk odpowiedział — ale z tego jeszcze nie wypływa, żebyśmy temu, na którym chcemy zarobić, mieli sami błędy podsuwać i takowe ułatwiać. Jeżeli którego z naszych sąsiadów ma spotkać nieszczęście, niech go spotyka bez naszego współudziału.

Maurycy żachnął się i zębami zgrzytnął.

— A niczem że w twoich oczach jest nasza ideą narodowa, która dla wielkiej ojczyzny niemieckiej każe nam coraz większe robić zdobycze?

— Skoro ona taka wielka, to chyba nie powinna rozszerzać się kosztem słabszych sąsiadów — Fryderyk spokojnie odrzucił.

— Mówisz jak sofista, nie jak prawy syn Brandenburgji! — krzyknął Maurycy.

— Zapominasz bracie, że nasz ród wywodzi się z Polski, a nie z Brandenburgji — Fryderyk dalej mówił spokojnie — Z początku nazwisko nasze było Sarnecki, potem, gdy rodzina z Gdańska przeniosła się do Marchji brandenburskiej, przezwała się z niemiecka Sarnecke, a dopiero od stu lat piszemy się Zarnecke.

— Ja o tem ani wiem, ani chcę wiedzieć!

— Dlaczego wypierasz się, Maurycy? Wszak czytałeś w papierach familijnych, że jedynie na tej podstawie zostaliśmy niemieckimi baronami, iż przedtem byliśmy polskimi szlachcicami W naszem prawodawstwie stoi wyraźnie *dass die Baronen und die Ritter sind gleichgestellt.*

— Na co to całe gadanie! — Maurycy zniecierpliwiony zawołał. — Według Biblji pochodzimy wszyscy od żydów, bo Adam w raju miał być ponoś także żydem, a mimo to wątpię, byś teraz chciał się przyznać do kuzynowstwa z Silberem. Być może, że kiedyś tam, przed trzystu laty, by-

liśmy także polakami, lecz takich jak nasza rodzina, jest na samym Szlązku kilka set, jeżeli nie więcej, a przecie żadna z nich nie przyznaje się dziś do głupiej polskości. Skoro nawet Piastowie, ich najstarszy ród książęcy, wolał zlać się z cywilizowaną Germanją, niż żyć w Polsce barbarzyńskiej, więc chyba familja Sarneckich tem śmielej mogła to uczynić. Odkąd zaś zostaliśmy Niemcami, powinniśmy bez wytchnienia walczyć z motłochem sławiańskim, bo na to go Bóg stworzył, żeby nam służył.

— Gdy tak na ciebie patrzę, mój Maurycy— brat starszy przemówił — mimowoli przypominam sobie, com raz z ust pewnego podróżnika usłyszał. Spędził on kilka lat w Indjach Wschodnich i tam zrobił spostrzeżenie, że największym nieprzyjacielem dzikich słoniów, jest słoń oswojony. Hultaj ten za to, że mu pan jeść daje i w stajni spać pozwala, z największą przyjemnością sam potem na swoich braci poluje, słabsze słonie bije trąbą i bierze je do niewoli.

— Do czego zmierza to porównanie? — Maurycy przerwał.

— Do tego mój bracie, że ty zostawszy z barbarzyńskiego jak powiadasz Słowianina, ucywilizowanym Germanem, chciałbyś dziś wszystkich dzikich Słowian wziąć do niewoli. Jak teraz widzę, słuszność miał także pewien polak, którego niegdyś znałem w Berlinie, gdy mi mówił, że najwięszymi nieprzyjaciółmi jego ojczyzny, nie są prawdziwi Niemcy, lecz owi zniemczeni Slawianie z nad Odry, którzy choćby już dla tego pragną wszystkich Słowian wytępić, że na ich widok sami jako odstępcy muszą się rumienić!

— Mój bracie, przyszedłem do ciebie w interesie — zawołał Maurycy — a ty mi zaczynasz pleść androny, których ani przyszyć ani przyłatać. Że masz głowę chorobliwym kosmopolityzmem zaprzątniętą, o tem wiem oddawna, a że jako żarliwy katolik bronisz polaków, z których każdy mniej więcej jest jezuitą i większym rzymianinem niż sam papież, to dla mnie także nie nowina. Ale za to, jeźli kiedy, to dziś jasno widzę, że nasz wielki kanclerz ma rację, gdy na wszystkich punktach toczy bój z katolicyzmem. Jeźli kto, to wy jesteście największymi państwa nieprzyjaciółmi, i dlatego musicie ugiąć się przed jego wolą żelazną.

— Zobaczymy, zobaczymy — Fryderyk odpowiedział. — Ty zaś Maurycy, zapewne dla tego, żeś chciał kanclerzowi zadanie ułatwić, dobrowolnie porzuciłeś wiarę swoich ojców. Zasłużyłeś się tem wielce około dobra ojczyzny i dziś Opatrzność powinnaby cię za to stosownie wynadgrodzić, oddając ci w ręce Trzciniec i Ujście Leśne. Życzę ci powodzenia, ale sam do takiego interesu ręki nie przyłożę.

Maurycy usłyszawszy słowo ostatnie, mruknął coś niezrozumiałego, włożył kapelusz na głowę, wyszedł prędko z pokoju i drzwi za sobą zatrzasnął. Fryderyk wzrokiem go odprowadzał i chociaż brat był już na dole, on stał ciągle na dawnem miejscu i w drzwi się wpatrując głową potrząsał.

(Ciąg dalszy nastąpi).

DWA OBOZY

POWIEŚĆ FRANCUSKA

WIKTORA CHERBULIEZ.

(Ciąg dalszy.)

Postanowiła skończyć raz z dręczącemi ją niepewnościami i skrupułami. Chora kobieta, od której wychodziła, między innemi skargami, rozwodziła się nad zuchwalstwem syna nicponia, wyrostka czternastoletniego, i błagała Jettę o wstawienie się do miejscowego proboszcza, aby chłopaka nabrał z góry i nakazał posłuszeństwo w obec matki. Obiecała chorej zająć się tą sprawą. Teraz więc wróciła się z drogi, a zmieniwszy negliż ranny na strój wizytowy, wybrała się na probostwo.

Proboszcz w Combard, tęgi, otyły, z twarzą rumianą jak miesiąc w pełni, miał nos wiecznie zatabaczony. Jak wieść niosła, był za młodu huzarem i coś do niego przylgnęło z owych czasów. Gdy jego owieczki były ładne i młode lubił głaskać je pod brodę lub uszczypnąć z lekka w policzek. Nigdy jednak dalej się nie zapędzał, tych zaś niewinnych karesów ani on za grzech nie miał, ani inni za złe nie brali. Była to dusza najpoczciwsza, prostaczek, nie mogący istnieć bez ogrodu, ulów z pszczółkami i bez pełnej tabakierki. Nowe dogmata przyjął z pokorą, ale bez wielkiego zapału. Pomyślał w duchu, iż nie czas potemu, gdy wiara coraz słabnie, a rozum ludzki robi się coraz przekorniejszy i zrzędniejszy. Myśli te jednak schował do kieszeni. Nie lubił się z nikim kłócić, a najmniej ze swoim biskupem. Co mu to zresztą wadziło, że papież chce być nieomylnym? Każdy szuka przyjemności gdzie może, a w jego ogrodzie wszystko kwitło i bujało jak dawniej, i pszczoły miód znosiły aż miło! Więc niech sobie będzie, jak chcą u góry. Ten poczciwiec kochał świat cały, jednym tylko starym kawalerom wydal wojnę zaciętą i z serca ich nienawidził. W całym obwodzie nie było swata gorliwszego, niż ksiądz Minard. Nie przebaczał nikomu, żenił w czambuł najgorszych libertynów, kawalerów zakamieniałych, nawet wdowców dobrze już podtatusiałych. Gdy wpadł raz na ten temat, wymowie jego nikt się nie mógł oprzeć; gotów by był schwycić za kark po prostu uparciuchów i powlec gwałtem na ślubny kobierzec. Utrzymywał, iż małżeństwo jest najpiękniejszą instytucją i najlepiej się bawił na ucztach poślubnych lub na chrzcinach choćby najskromniejszych. Z często rozweselał biesiadników anegdotkami trochę pieprznemi; życie jednak jego było bez plamy, bez zarzutu. Był on dowodem wcielonym, iż rozmaite drogi prowadzą do królestwa niebieskiego i że można je zdobyć po huzarsku nawet. Parafianie uśmiechali się znacząco na jego widok, nazywali go poczciwym księżuniem — uczęszczali jednak gromadnie na nabożeństwo tak ranne jak i wieczorne, byle mu zrobić tem przyjemność. Na dziesięć mil w około, nie było takiego ścisku

jak w jego kościele i w żadnej parafji tyle co u niego dzieci się nie rodziło

Jetta zatrzymała się chwilę przed drzwiami probostwa, aby odetchnąć Proboszcz był w o grodzie z nożem krzywym w ręce. Z sutanną podkasaną, z rękawami po łokcie zawiniętemi, czyścił winograd, od południa na ścianie domu rozpięty. Przerwał robotę, aby powitać pannę Maulabret i spytał o szacowne zdrowieczko Wrócił natychmiast do zatrudnienia z prośbą: — Wszak panienka pozwoli?

Jetta załatwiła się szybko ze sprawą chorej kobiety. Słuchał jej uważnie, mimo iż machał dalej nożykiem. Gdy skończyła:

— Rzecz naturalna — przemówił — natrę uszów należycie temu lampartowi. Chociaż z drugiej strony, jego matka wiecznie musi się skarżyć i wiecznie na coś płakać.. Niech to panienki nie obraża, ale to ogólna kobiet na wyczka i dziwne w lamentach upodobanie...

— Ach! proboszczu... są bo pomiędzy niemi takie nieszczęśliwe...

— Zapewne... te, które nie potrafiły sobie męża znaleźć...

— Albo te, które mąż bije i zaniedbuje..

— Jeżeli mąż kijem okłada żonę, to pewnie dla tego, że na to zasłużyła.. Wierz mi panienko, jeszcze i najgorsze małżeństwo lepsze od celibatu.

— Są jednak wypadki..

— No! tak... i jakież to naprzykład?

— Wyjątki stanowią kobiety, czujące w sobie powołanie do życia klasztornego.

— Hm! hm! słuszna uwaga.. potrzeba nam zakonnic.. koniecznie potrzeba... Ale tylko nie za wiele... nie za wiele... Byle czuć prawdziwe powołanie... Pozory są czasem tak złudne...

Zdobyła się na odwagę:

— Znam młodą osobę... — przemówiła.

Mimowolnie spłonęła rumieńcem, a głos jej tak drżał, że nie mogła dokończyć zdania.

— Aha!... znasz panienka młodą dziewczynę, która chce zostać zakonnicą. czy tak?

— Na nieszczęście ma ona dziadka, który radby ją gwałtem wydać za mąż

— Niech temu dziadkowi Bóg błogosławi! Według mego zdania, człowiek to poczciwy z kośćiami!

— Zapewne księże proboszczu... trzeba jednak i to uwzględnić iż ona uważa się niejako za związaną...

— Kim? Czem?... Czy już śluby zakonne wykonała?

— Tak księże proboszczu.. przyrzekła w myśli...

Wypuścił nóż z ręki. Wpatrywała się z trwogą w jego oczy okrągłe, wybałuszone, w których miała wyczytać dalsze losy swoje.

— W myśli, mówisz panienko?... Ten wyraz nie istnieje w moim słowniku.

Dodał zaś ze śmiechem rubasznym:

— Gdyby dobry Bóg był się zadowolnił przyrzeczeniem w myśli winnicy Noemu, miał by był wszelkie prawo obietnicy niedotrzymać! A na co by nam się w takim razie przydały nasze sidełka? Nie mielibyśmy co w nie łapać... Na szczęście Bóg nie ma trzydziestu dróg tylko jedną, Bóg nie każe słońcu świecić o północy i włosa cienkiego nie dzieli na czworo.. sztuka by była podzielić go choćby na dwoje.. Mam wielką ochotę odwidzieć tego dziadunia czcigodnego a we dwóch ubijemy sprawę w kilku słowach!

— Było by to nadto trudnem — odpowiedziała ze smętnym uśmiechem.

— Dla czego?

— Umarł przed pięciu miesiącami.

— Śmieszna historja! umarł, a jeszcze trudni się swataniem swojej wnuczki.

Podwiązał pęd winnej macicy leżący na ziemi. Jetta goniła wzrokiem zadumanym motylka w powietrzu fruwającego. Proboszcz zamilkł nagle. Ona wreszcie żywo zawołała:

— Ojciec tej dzieweczki, powierzył ją na kilka godzin przed zgonem opiece starca zacnego. Uczcił święcie ostatn ą wolę umierającego; pokochał ją, uważał jakby za własną córkę. Czyż nie słuszna rzecz, aby nawzajem ona wypełniła ostatnie życzenie tego człowieka najszlachetniejszego?

— Tak, to lubię! — wykrzyknął proboszcz tryumfująco.

W tem z miną zakłopotaną poskrobał się po za ucho.

— Ale prawda!... zawadza na drodze to w myśli przyrzeczenie.. Jak Boga kocham, śliczny wynalazek!... Wiesz co moja panienko? Skoro tamta w myśli Bogu przyrzekła zostać zakonnicą, żądam od niej, aby w ten sam sposób obietnicy dokonała, w myśli, w intencji skrytej, to jest, iż żyjąc na świecie, będzie obowiązaną, pod lewą piersią, mieć serduszko poczciwe prawdziwej zakonniczki.

Porwał kapelusz, zawieszony nieopodal na gałęzi, podsunął go Jecie i rzekł żartobliwie:

— Co mi kto zaofiaruje dla moich biedaków?

Poszukała w kieszonce, a znalazłszy tam pełną sakiewkę, opuściła ją w kapelusz.

— Doskonale! — uśmiechnął się patrząc na nią z pod oka — a teraz panienko, wypraw czemprędzej do konfesjonału, tę ichmościankę z wykrętasami, tę skrupulantkę, która lubi robić jak uważam, wołu z kanarka Za grzechy każę jej wyjść za mąż jak najprędzej i urodzić rok po roku z dziesięcioro tęgich dzieciaków, których wychowa na tęgich katolików. Da im oczy czarne lub niebieskie, nawet jedno czarne a drugie niebieskie to mnie już nic nie obchodzi i zostawiam to jej własnej fantazji. Jeżeli mnie zaś spotka zaszczyt być na chrzciny zaproszonym, ręczę że odbędą się wesoło i nikt na nich nie zapłacze.

Teraz zmienił ton i stał się bardzo poważnym. Rozwodził się długo i szeroko, ile to nieprzyjaciół czyha na każdy pączek rozwijający się na wiosnę. Muszki, owady, gąsienice, że już nie wspomni o burzach, ulewach i gradach. Gdyby Bóg się w to nie mięszał człowiek nigdyby plonu nie zbierał. Na szczęście jednak Bóg się miesza do wszystkiego i wszystkiem najmędrzej kieruje.

Gdy Jetta pożegnała tego rubachę, który przecież był przebieglejszy, niż na to wyglądał, odprowadził ją przed dom kilka kroków, wracając czemprędzej do ulubionego zatrudnienia. We furtce zatrzymała się na chwilę, aby raz jeszcze rzucić okiem na niego. Twarz miał czerwoną jak piwonja, figurę niemal kwadratową i wielce niezgrabną, głowę ogromną, osadzoną na grubym, tłustym karku; ogród zajmywał go niepomiernie; mimo tego jednak iż poły miał podpięte wysoko i rękawy po za łokieć podwinięte, suknia jego była prawdziwą sutanną, a gdzie sutanna, tam jest i kościół reprezentowany Kościół zatem przemówił do niej przez te usta, lubiące się śmiać rubasznie i żarty stroić czasami; kościół robił się wspólnikiem niejako panny Maulabret, mówiąc do niej: — „Odejdź

w spokoju, córko moja, posłuchaj swojego serca, a Bóg cię za to nie przeklnie". — Wszak podał jej kapelusz, prosząc o coś dla swoich ubogich. W ten kapelusz, porządnie zatłuszczony, Jetta wsunęła sakiewkę, zrzucając równocześnie troskę i skrupuły, ciężące jej niby góra na sercu. Ciężar spadł z jej piersi i spokój błogi w jej łonie zapanował.

Była tak swobodną i wesołą powracając do zamku, iż miała ochotę zaśpiewać Biegła tak szybko, że ludzie zdziwieni oglądali się za nią mijając po drodze. Nie pojmowali, co jej się stało, nie wiedzieli, że czuła w duszy i w nogach niby ptaka skrzydełka.

W chwili, gdy panna Mautabret dysputowała z proboszczem w Combard, pani de Moisieux wdała się w rozmowę dość kwaśną i burzliwą ze swoim synalkiem. Starała się go przekonać, że po okrutnym żarcie, którego sobie pozwolił z panienką miłą i dobrze wychowaną, nie może jej się przez dłuższy czas na oczy pokazywać, że jest w jego własnym interesie, wyrzec się, a przynajmniej udawać, że się zrzeka wszelkich do niej pretensyj i zostawić wolne pole panu Valport. Potrząsał uszami, jak pies wodą zlany i odpowiadał zawzięcie, że zakochany w Jecie do warjacji, że za nią po prostu szaleje, że mu ją święcie przyobiecano, że ją chce mieć i będzie ją miał, że zresztą ma na pieńku od dawna z panem Albertem Valport i jeżeli by się ten piękny panicz ośmielił zjawić w Combard, nawlecze go na szpadę, jak kurczę na rożen. Matka wzruszyła niecierpliwie ramionami:

— Ejże! — wykrzyknęła — czyż nigdy nic nie zrozumiesz? A to dopiero łeb zakuty!

— Cóż bo mama w końcu postanowiła?

— Racz tę troskę całą mnie zostawić. Pan Cantarel dostał już odemnie instrukcje i wskazówki, które zostaną co do joty wykonane.

— Oh! o tem ani chwili nie wątpię — zaśmiał się rubasznie. — Ten fabrykant makaronów, ma dla mamy szczególne nabożeństwo, pożera cię ślepiami, jak nieprzymierzając wyżeł pieczeń, rumieniącą się na rożnie. Słowo honoru, gotów by chodzić na czworakach, byle się tobie przypodobać!.. Trzymaj się mama! trzymaj się ostro! radzę po przyjacielsku.

Wziął się za boki od śmiechu tak mu się jego własny żart wydał doskonałym Owa istota niemożliwa, miewała, jak już o tem wspominaliśmy, chwile dziwnego jasnowidzenia; to dziecko natury było częstokroć przebiegłe jak ludzie dzicy. Jest to bowiem dzikich specjalnością, nie r zumieć tego, co się do nich mówi, a odgadywać instynktowo to, z czem się kto kryje przed nimi Była to jedna z głównych przyczyn, dla których margrabina tak mało gustowała w syna towarzystwie. Nie mogła ścierpieć plądrowania czy to po jej sercu, czy po jej skrytkach lub szufladach. Niedojadek zaś niczego w ogóle nie uszanował.

— Czyś się jeszcze o tem nie dowiedział — krzyknęła rozdrażniona — że śmiejąc się wyglądasz jak istna foka?

— Niech się mama nie irytuje.. proszę mi raczej jasno wyłuszczyć plan cały.. Spodziewam się, iż stosując się do twoich instrukcyj, pan Makaron zacznie od tego, że Valport'a od razu każe za bramę zamkową wyrzucić!

— Wręcz przeciwnie, żądam usilnie, żeby go przyjęto najuprzejmiej, żeby wszystko przed nim stało otworem, ramiona, drzwi i nawet okna. Znam ja z gruntu tego pięknego trubadura; nęcą go li awanturki pieprzne lub najeżone trudnościami. Podobny do owego jegomościa z jakiejś tragedji angielskiej, który nie miał apetytu do śniadania, póki nie ubił kilka tuzinów Szkotów. Bez tego sportu, życie mu się wydawało nieznośne i bez smaku. Skoro pan Valport przewącha, że nie ma tu ani jednego Szkota do uprzątnienia, awanturka straci urok w jego oczach i za trzy tygodnie najdalej będzie już miał tego szczęścia po same uszy!

— To wszystko jest dla mnie nadto skomplikowanem — odpowiedział marszcząc czoło z widocznym wysiłkiem, aby coś zrozumieć.

Miał tę samą minę, jak niegdyś, gdy jego profesor starał się go zapoznać z tajemnicami niezbadanemi... tabliczki Pitagoresa

— Rzecz wiadoma — matka mruknęła lekceważąco — żeś miał zawsze nader tępą głowę.

— A twoja za to, mateczko, ma otchłanie bezdenne, w których ja się gubię. Mniejsza o to, rób jak ci się podoba, ale ja lubię środki heroiczne. Będę zatem działał z mojej strony. Zobaczymy kto z nas pierwszy pulę wygra.

— Na to nigdy nie pozwolę! — margrabina głos podniosła — Sadził byś głupstwa na głupstwa i dopiero byś popsuł wszystko bez ratunku. Dla większej pewności opuścisz Combard jeszcze dziś wieczór. Twoja ciotka, pani de Lireux, jedzie na dwa miesiące do Cannes. Dziś o dziewiątej wsiądziesz na pociąg idący do Paryża. Właśnie była u mnie z pożegnaniem i oświadczyła się z chęcią zabrania ciebie. Po dwóch miesiącach wolno ci będzie powrócić i mogę ci zaręczyć, że tymczasem słuch zaginie o panu Albercie Valport.

Próbował buntu, zapowiedział, że uważa panią de Lireux za babę najnieznośniejszą, że przez dziwny kaprys traktuje go wiecznie jak żaka, jak smarkacza, że zechce najniezawodniej, aby przez całą drogę niósł na rękach jej mopsa tłustego, że ten mops miewa nawyczki najfatalniejsze, które mu są aż nadto znane, żeby się miał narażać na ich skutki nader nieprzyjemne.

— Zresztą — dodał — pragnę sam pilnować moich interesów i pracować osobiście na moje szczęście. Mama jest z pewnością zręczna, ale i mamie się czasem nóżka powinie

Margrabina rozgniewała się na serjo; krzyknęła groźnie, że musi słuchać lub wytłumaczyć się z powodów, dla których upiera się jak kozioł. Dysputa stawała się coraz burzliwszą. Gaston wreszcie zerwał się a wychodząc zawołał:

— Zobaczy mama, że dziś o dziewiątej moje manatki nie będą spakowane!

Wyszła do swojego parku w miniaturze, wołając na cały głos: — Lara! Lara! — Odpowiedziano jej, niby z pod nieba: — Jestem tu! — Młody Grek był zawieszony na szczycie dębu, obciosując z niego suche gałęzie. Goniąc za niebezpieczeństwem, siadał jak na konia, na gałąź uschłą i zaczynał ją od pnia odpiłowywać. Nie wiele brakowało, żeby z którejkolwiek karku nie skręcił; ale za pierwszem zatrzeszczeniem czepiał się innej jak wiewiórka, zawieszony między niebem a ziemią.

— Zejść natychmiast i pójść prosić do mnie pana Cantarel! — rozkazała margrabina.

— Nie pójdę — odpowiedział zuchwale.

— Skoro tak, pójdę sama — udała jakby się zwracała ku zamkowi.

Zwinny jak kot zsunął się natychmiast w dół po gałęziach, a torując sobie drogę przez krzaki, stanął z miną wyzywającą przed panią de Moisieux. Wyglądał na małego zbója z Pentalikonu, ale na zbója ślicznego jak Amor. Chociaż niższy o kilka cali od margrabiny, wspiąwszy się jak kogucik na pazurki, potrafił jej spojrzeć oko w oko. Jedna para oczu była czarna i lśniąca jak brylanty, licząc zaledwie lat ośmnaście, druga miała barwę i odblask łagodny gołąbka; wiek tych źrenic siwych z trudnością by przyszło oznaczyć dokładnie, to jednak nie podpadało wątpliwości, iż patrzyły one na niejedno. Te oczy siwe i czarne, nie mówiąc tym samym językiem znały się nawzajem doskonale i porozumiewały się między sobą na migi, jak koniokrady na jarmarku.

— Ty mały potworze! — tupnęła margrabina. — Jak śmiesz odpowiadać nie, kiedy ja mówię tak.. Precz z drogi!.. puścić mnie!..

Porwał ją za obie ręce i ścisnął tak silnie, że aż z bolu krzyknęła Odsunąwszy koronkę u rękawa, spostrzegł dwa sine pręgi od jego uścisku żelaznego, na tej skórce białej i miękkiej jak aksamit Poczerwieniał, czując jednocześnie wyrzut sumienia, dumę i nielada zadowolenie.

Ona uśmiechnęła się dobrodusznie.

— Fiu! fiu! co mi za bohater! Idź dzieciaku i zapakuj kuferek mego syna. Wiesz przecie, czego może potrzebować

Twarz Lary dotąd chmurna, nagle się wyjaśniła.

— Pan Gaston odjeżdża? — zawołał.

— Dziś wieczór.

Pobiegł pędem rozkaz wypełnić. Młody Lara nie gustował wcale w tych, co wchodzili, natomiast lubił namiętnie tych, którzy się z domu wynosili Takie już miał dziwne usposobienie.

Pani de Moisieux po każdej utarczce z synem, zwykle kończyła zwycięstwem na całej linji. O w pół do dziewiątej, przyszedł się z nią pożegnać, z torebką przez plecy przewieszoną, z czapką w ręce. Miał minę taką naburmuszoną, że nie mogła wstrzymać się od śmiechu i w te słowa się odezwała:

— Nibyś to taki bardzo nieszczęśliwy! a przecież tę szczęścia którem i zwykłeś się zadawalniać, zebrać można na byle jakiem śmieciu.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

NA ZIEMI MĘCZENNIKÓW

POWIEŚĆ

osnuta na tle stosunków irlandzkich

przez

KAROLA DESLYS'A.

(Ciąg dalszy).

„Kilku innych jeszcze więźniów, znajdowało się w tem samem arcy przyjemnem położeniu. Na wielkie szczęście tych biedaków, oddział powstańców wpada z góry na huzarów. Pułkownik, jak zawsze nieoględny a zarozumiały, każe szarżować, wkrótce jednak przekonał się, iż wpadł w zasadzkę. Celni strzelcy na flankach; w poprzek drogi wąskiej i stromej, zwalone sosny olbrzymie. Trąbią do odwrotu Którędy atoli wracać? Nyowi przeciwnic atakują, ich z tyłu. To jeńcy wojenni. Słaby tylko oddział został na straży. Przypomnij sobie postać atletyczną O'Connell'a. Oburzenie, gniew wściekły, zwykły zdwajać siły. Rozerwał więzy, wydarł pałasz najbliższemu żołdakowi, czaszkę mu jednem cięciem rozpłatał, innych pokiereszował i rozpędził na cztery wiatry. W jednej chwili wszyscy jeńcy, jedni drugich z więzów uwalniają, podejmują broń zabitych, napadają na huzarów, szerząc pomiędzy nimi popłoch niesłychany. Jeden z ich oficerów, z całej bandy najporządniejszy, zaręczał mi, iż młody orator okazał się nie mniej dzielnym w boju, jak na mownicy. Żal mi serdecznie, że poszedł drogą tak śliską... Ale czyja w tem wina?!...

„Kilkenny 1 lipca. — Gdyby Francuzi byli teraz wylądowali, stracilibyśmy niezawodnie Irlandją Była chwila, w której powstanie liczyło do czterdziestu tysięcy ludzi, z których jedna trzecia miała broń palną; reszta wprawdzie tylko piki, ale i te są straszne w dłoniach zrozpaczonych. Nieraz sobie przypominam, coś mi opowiadał o Wandejczykach, o ich zapamiętałości i męstwie nieustraszonem. Nawet ich przezwiska wojenne, można odszukać między powstańcami w Irlandji. Istny cud, żeby chłopstwo mogło zmienić się w tak krótkim czasie, w doskonałego, bitnego żołnierza. Zabrali nam kilkadziesiąt armat, natychmiast znaleźli się wyćwiczeni artylerzyści, którzy niemi do nas celnie strzelali. Pomiędzy ich dowódzcami, są prawdziwi bohaterowie: Edmund Kyan, bracia Rocke, Dżon Murphy, którego lud nazywa ojciem Janem. Jest on księdzem i starcem siwowłosym. Wielu ma go za świętego. Za całą broń, niesie w rękach krucyfiks, którym tłumy pociąga za sobą sfanatyzowane jego wymową porywającą. Uważają go za nietykalnego w dodatku, utrzymują nawet, że kule uchodzą mu z drogi, z czego wypływa ma się rozumieć, iż kto idzie za ojcem Janem, tego również kule się nie imają. Jest jednak jeden, jeszcze więcej od ojca Jana czczony, niemal za Boga uważany... wódz tajemniczy, niezwalczony, niepokonany. Ten się nazywa Edward Fitz-Gerald!

„Widzę ztąd twoje zdziwienie nadzwyczajne. Tak samo ja tego sobie zrazu wytłumaczyć nie umiałem. Zaczynałem już powątpiewać, o tych, którzy mieli strzedz grobu tajemnicy, przypomniała mi się jednak scena pod „Dębem Królewskim". Uderzyło mnie wtedy pewne podobieństwo.. i dziś jestem najmocniej przekonany, że to nikt inny tylko *Wild Irish*, walczy pod tem nazwiskiem Pomyślał zapewne, iż widmo z grobu powstające, rozpłomieni masy, chciał może uczcić tym sposobem pamięć Edwarda, robiąc z niego po śmierci legendowego bohatera.

„Ferns 9 lipca. — Armja angielska, wzmocniona wszystkimi wolontarjuszami, którzy nam zostali wierni w Irlandji, odniosła zwycięstwo stanowcze. Wszystkie armaty napowrót odebrane Rozsypka zupełna powstańców. Idziemy na Wexford, który jest w ich rękach od trzech tygodni. Mieli tam popełnić okropności, równające się waszym wrześniowym morderstwom, kiedy to niemal cały Paryż krwią się zalał. Kto tylko był znany jako protestant lub posądzony o sprzyjanie rządowi...

„Przeszkodzono mi w chwili, gdym kończył ten ustęp. Patrol wracał z więźniem. Wyobraź sobie moje wzruszenie!... Jeńcem stawionym przedemnie był O'Connell!

„Na szczęście złapali go bez broni takim, jakim wyjechał z Dublina; podróżnego, który chciał poprostu ojca odwidzieć. Schwyciłem w lot tę okoliczność łagodzącą, aby go uratować i spytałem: — „Nie miałeś zatem sir nic wspólnego z powstańcami?" — On jednak nie chciał

kłamstwem życia okupić: — „Byłem z nimi — odpowiedział bez wahania — porzuciłem ich atoli, nie chcąc odpowiadać pospołu za czyny haniebne i potworne okrucieństwa, których się dopuszczają.“ — A gdym go nacisnął, żeby się jaśniej wytłumaczył: — „Przybywam z Wexford“ — szepnął, płonąc wstydu rumieńcem. Był to głos płynący z serca wzniosłego i szlachetnego, a choćby nawet jego zdolności znakomite miały z czasem stać się dla Anglji szkodliwemi, czuję się szczęśliwym, iż mogłem go puścić wolno.“

„Vinegar Hill, 17. lipca. Atakujemy jutro na górze tego nazwiska tych wszystkich, którzy nie chcieli złożyć broni dobrowolnie. Tę garstkę szaleńców zrozpaczonych zewsząd otaczamy. Będą się wściekle bronili. Pomiędzy tygrysami są i lwy!... ale jest również mnóstwo kobiet i dzieci. Nasi żołnierze są rozjuszeni!... Przewiduję rzeczy straszliwe!... Oh! jak ci srogo zawinili, którzy dali powód do takiej potwornej wojny domowej!“

XXXIV.

Gdzie rozplątujemy tajemnicę potrójną.

Tankred zawsze rycerski i honorowy, uznał za stosowne podzielić się wiadomościami i pokazać listy otrzymane Łucji. Czyż nie dowodziły szlachetności tego, który je pisał, a którego ona nazwisko nosiła obecnie?

Kornelja pragnęła również listy odczytać. Ostatni, zapowiadający rzeź niemal w Vinegar-Hill, przeraził ją, pokrywając twarz bladością śmiertelną. On tam był niezawodnie! Lew najdzielniejszy i nieustraszony!

Znała i ojca Jana osobiście, ubóstwiając starca z innymi pospołu.

— Ah! — jęknęła — sir Reginald sam przyznać zmuszony, że to święty!.. z którego oni zrobią męczennika!

Łatwo pojmiemy, iż księżna o niczem nic nie wiedziała a Edward jeszcze mniej. Ten jednak dziwnie się niepokoił. Są natury obdarzone instynktem tak delikatnym, iż w duszy ich jak w zwierciadle, odbija się każde nieszczęście, które ma spotkać kogoś przez nich ukochanego, lub ich ziemię rodzinną.

Pewnego wieczora, gdy jak zazwyczaj, całe towarzystwo usiadło na terasie zamkowej uderzono we wszystkie dzwony w kościele farnym.

— Dzwonią jakby na jakie *Te Deum!* — Edward zauważył.

— Zapewne nowe zwycięstwo odniesiono na kontynencie — bąknął Tankred.

Nagle zapiszczał tuż pod wschodami terasy, na gościńcu murowanym, roznosiciel dzienników, głosem wrzaskliwym i donośnym. Hrabia zrozumiał z pierwszych wyrazów o co idzie. Starał się zatem odwrócić uwagę Edwarda.

Ten jednak przerwał mu niecierpliwie:

— Pozwól!... Zdaje mi się, iż to są bardzo ważne wiadomości, którym warto się przysłuchać.

A gdy Tankred dalej go czem innem zagadywał:

— Dajże pokój! — zawołał. — Chcę! i będę słuchał!

Wszyscy umilkli. Wołający zrównał się właśnie z terasą i wrzeszcząc na całe gardło, zapowiedział zdobycie obozu na szczycie Vinegar-Hill i stłumienie ostateczne powstania. Edward zerwał się z go żkim na ustach wyrzutem:

— Ah!.. kryliście więc, że tam się biją. I bili się bezemnie!...

Pamela, Łucja, matka, starały się go uspokoić. Tankred zaś wtrącił z uśmiechem:

— Edwardzie! raczysz może przyznać, iż jestem dobrym sędzią co do spraw honorowych... otóż z dwóch przyczyn nadzwyczaj ważnych, twój honor wyszedł z gry najzupełniej!

— Jakto?

— Najprzód kochany przyjacielu nie żyjesz!... o tem nie można przecie zapominać!... powtóre: nie byłbyś nawet w stanie pałasza utrzymać!

Edward spojrzał smutno na rękę wiszącą dotąd na temblaku, odrzucił jednak żywo:

— Same moje nazwisko byłoby sztandarem!

— I było nim w rzeczy samej! — Tankred potwierdził. — Wódz najdzielniejszy z całego powstania, kazał czy też pozwalał nazywać się Edwardem Fitz-Gerald.

— Nic a nic nie rozumiem!

Po kilku słowach objaśniających Tankred tak zakończył:

— Pomyśl tylko o podobieństwie między tobą a Jakóbem. Skorzystał z niego o ile się zdaje, aby działać na umysły zabobonne swoich współziomków. Twoje widmo, powstające z grobu, aby stanąć na czele, musiało ich uczynić w boju niezwalczonymi. Jakób ma cię wraz z innymi za umarłego, mimo to jednak chciał z ciebie zrobić zbawcę Irlandji. Za lat sto starzy będą dzieciom opowiadali tę historję i wszyscy w nią uwierzą najzupełniej. Edyn zielony nie jestże ojczyzną najbajeczniejszych podań i legend?!

To tłumaczenie sprawdziło się co do joty w przyszłym tygodniu.

Deszcz lał przez dzień cały. Całe towarzystwo zgromadziło się w owym gabinecie, do którego *Wild-Irish* wprowadził po raz pierwszy Tankreda gankiem podziemnym.

Na dworze noc czarna zapadła i wiatr dął z całej siły. Grube krople deszczu dzwoniły po szybach, jakby śrut drobny; drzewa szumiały ponuro. Księżna, cokolwiek dnia tego cierpiąca, udała się wcześniej na spoczynek. Wskazówka zegara dochodziła do godziny dwunastej.

— Pst!... Słuchajcie!—Kornelja palec na ustach położyła, schylając się ku posadzce.

Pod ziemią w owym ganku odzywały się czyjeś kroki. Sprężyna odskoczyła, pociśnięta ręką niewidzialną, i pokazał się otwór w murze.

Tankred z Łucją porwali Edwarda pod ramiona, uprowadzając go szybko drzwiczkami przeciwnemi ku wschodom, wiodącym do kryjówki na górze. Pamela została sam na sam z Kornelją.

W otworze pokazała się czyjaś głowa. Poznały twarz natychmiast.

Był to *Wild-Irish*.

Kornelja nie była w stanie pohamować się w pierwszem uniesieniu radości. Z krzykiem rzuciła się mu na szyję, a i on nie mniej wzruszony, przycisnął ją namiętnie do serca.

Walka ostatnia zmieniła go do niepoznania. W twarzy bladej i chudej niesłychanie, czytało się okropne, rozpaczliwe zniechęcenie, jak również trudy i znoje przebyte w dniach ostatnich.

— Milady! — zwrócił się do tej, którą uważał za

wdowę po Elwa dzie — Dla ciebie tylko tu się pojawiam. Z tobą mówić muszę Chciej mię wysłuchać.

Kornelja fotel mu przysunęła. Upadł na niego znużony, bezsilny, a nie domyślając się że tak przezeń opłakiwany zmarły stoi tuż za nim i słyszy każde jego słowo, tak mówił dalej:

— Życie moje rozdzieliłem na dwie połowy: jedna należała do Irlandji, druga do Edwarda... Ojczyzna mnie już nie potrzebuje... Edwarda podobało się Bogu powołać do swojej chwały, tobie więc odtąd chcę się poświęcić, tobie to nędzne życie oddaję w całości. — A widząc że młoda kobieta usta otwiera i chce mu przerwać: — Pozwól mi skończyć milady! — ręce złożył błagalnie. — Chwile są policzone. Czekają na mnie. Robią na mnie obławę, jak na zwierza dzikiego i szkodliwego. Spodziewam się jednak dostać szczęśliwie na kontynent. Może i ty powrócisz do twojej Francji ukochanej? Tam, jak i na każdem innem miejscu, rozporządzaj dowolnie wiernym ci Jakóbem. Oddaje on się z duszą i z ciałem na twoje i twoich dziatek usługi.. żebyś się zaś wahać nie potrzebowała przyjmując mnie jako najlepszego przyjaciela i naturalnego opiekuna dzieci Edwarda, chcę ci odsłonić ważną tajemnicę, której nikt, nawet twój mąż nie znał dotąd.

Wszyscy słuch wytężyli, aby jednego słowa nie utracić.

— Ojciec Edwarda, jak ci milady wiadomo, przyjął mnie do domu własnego małem dziecięciem. Kochał mnie, kazał wychować i kształcić na równi z własnymi synami. Ci jednak nie obchodzili się ze mną jednakowo.. Ileż razy starszy zranił boleśnie biednego sierotę dumą, lekceważeniem, niemal pogardą!.. Edward przeciwnie okazywał mi zawsze szczerą przychylność, był dla mnie bratem nieledwie!... Ztąd moje przywiązanie i wdzięczność dozgonna! Wiesz jak go z duszy kochałem! Śmierć jego serce mi śmiertelnie zraniła i teraz jeszcze, tu, w tym ustroniu gdzie pędził dni tak jasne, tak szczęśliwe, gdy pomyślę że go na ziemi więcej nie ujrzę...

Łkania głuche głos mu w piersiach stłumiły. Kobiety już chciały przemówić. Edward pokazał się w tyle, gestem im milczenie nakazując.

— Dowiedz się więc milady — Jakób po chwili mówił spokojniej — że jeżeli poświęcę się dla jego dzieci, spełnię li świętą powinność. Jeżeli walczyłem pod jego nazwiskiem .. i do tego miałem prawo! Stary hrabia na zamku Kildar, wyznał mi prawdę na łożu śmiertelnem i pismem odnośnem ją zatwierdził, że i ja jestem jego synem, błędem mimowolnym krewkiej młodości, że biedna, szesnastoletnia matka moja, życiem własnem hańbę swoją opłaciła, polecając gorąco syna kochankowi. Oto dowód z ojca podpisem, że jestem w rzeczy samej bratem Edwarda.

Pamela przez łzy słodko uśmiechnięta rękę mu podała, pismo odbierając.

Kornelja zaś dotknęła się jego ramienia i zwróciła mu głowę w stronę przeciwną ku drzwiom tajemniczym.

— Jakóbie! — zawołała. — Patrzaj!

Edward stał na progu z wyciągniętemi do brata ramionami.

Wild-Irish zerwał się i upadł nazad spiorunowany; chciał krzyknąć, a nie był w stanie. Wzrokiem błędnym wpatrywał się w zjawisko ukochane, nie wierząc oczom własnym.

— Nie jestem cieniem! — uśmiechnął się zmartwychwstały.—To ja żywy! twój brat, twój Edward! Uratowali mnie... Tankred do spółki z doktorem Jumble.

Po kilku słowach wyjaśnienia niezbędnego, bracia upadli sobie w ramiona.

— A ja, twoją siostrą Jakóbie — Lucja słodko przemówiła, czoło mu nadstawiając. — Słyszałam również wszystko!

Złączyli się razem i hrabia zaczął wykładać plan cały wywiezienia zbiega z Irlandji. *Wild-Irish* odzyskał w jednej chwili dawną energję.

— Jedziecie zatem do Ameryki? — rzekł, patrząc z boku na Kornelję. — Może i my tam za wami pospieszymy..

— A dlaczegoż nie mielibyśmy jechać razem? — hrabia zauważył.

Jakób nie przyjął propozycji, nie chcąc utrudniać ucieczki Edwardowi. Nie był zresztą całkiem wolny jeszcze; musiał zasłaniać sobą ostatnich broni towarzyszów, którzy na niego tylko liczyli.

— W jakim celu? — spytał Edward.

— Chcielibyśmy przedrzeć się w północną stronę Irlandji — Jakób odpowiedział.

— Aby tam na nowo walkę rozpocząć?

— Nie! nie! I tak gorżko sobie wyrzucam, żem rozdmuchał to straszliwe zemsty zarzewie. I nasi niestety nie zostali pod tym względem bez plamy. Najczęściej nie byłem wstanie ukrócić ich swawoli. Okropność to, walka ras odmiennych i nienawiść religijna! O'Connell, który był się z nami złączył w Wexford, uciekł czemprędzej, mówiąc mi na pożegnanie: — „Czyż takimi czynami możemy na wolność zasłużyć?“ I miał słuszność zupełną! Nie żałuj Edwardzie, żeś wcale nie brał udziału i jedź, jedź czemprędzej, po za siebie się nie oglądając! Nie moglišmy nic zdziałać bez Francji pomocy!

— Czyż mamy wyrzec się na zawsze tej nadziei? — Edward potrząsł głową.

Odpowiedź Jakóba była dość niejasna i wahająca. Uciął nagle, usłyszawszy przeciągły świst w powietrzu

Wild Irish zerwał się aby odejść.

— Żegnajcie mi wszyscy — rzekł czule i rzewnie, raz jeszcze Edwarda chwytając w objęcie — niecierpliwią się moi towarzysze, a może nawet grozi im jakie niebezpieczeństwo. Jest między nimi starzec ranny w dodatku, którego chcemy choćby za najwyższą cenę uratować. To Dżon Murphy... Ojciec Jan!

Jakób stanął na pierwszym stopniu, prowadzącym o podziemia; naraz odwrócił się i rzekł uroczystym tonem:

— Muszę odsłonić przed wami jeszcze jedną tajemnicę. Tyczy się ona Kornelji. Kochaliście ją i umieli ocenić od dawna. Trzeba jednak, żebyście się i o tem dowiedzieli, iż od trzech lat przeszło, ojciec Jan połączył nas ślubem małżeńskim Jest moją żoną, a skoro chcecie mnie uznać za brata, przyjmcież i ją za siostrę.

Pociągnięta magnetycznie jego wzrokiem promienistym, piękna i poważna Irlandka upadła w męża ramiona.

Po raz pierwszy w przytomności wszystkich, przycisnął żonę namiętnie do łona.

Po drugim świście Unkasa zniknął w podziemiu

W kilka dni później, hrabia Gaillefontaine, jechał do Dublina zawezwany tamże, w jakimś bardzo ważnym i pilnym interesie przez Reginalda.

XXXV.

Biskup Anglikański z przeszłego stulecia.

Powóz ukrywający w swem wnętrzu naszych znajomych, toczył się szybko, mimo ciemnej nocy. Dwa razy jenak musiał pocztyljon w którym poznajemy *Wild - Irish'a* wraz z nieodstępnym *Unkasem* również przebranym, konie zatrzymać. Raz pierwszy na wezwanie oddziału jeźdźców, którzy mu drogę zastąpili. Byli to owi osławieni *Fencible*, jamniki do lisów tropienia. Ci którzy napadli na bezbronnych w dolinie Curragh. Ci również którzy mieli pomódz skutecznie w wytropieniu nie lada zwierzyny, bo samego *Wild-Irish'a* a następnie podzielić się z Homspachem bogatą zdobyczą.

Skoro jednak Sir Jocelyn poznał lorda Cornwallis, zakomenderował:

— Puścić wolno!

I pocztylion palnął z bata na wiwat. Za drugim razem powóz stanął w lesie gęstym, zjechawszy z pagórka dość stromego.

— Cóż to? — badał Reginald.

— Pocztylion zdejmuje hamulec — Tankred odpowiedział, wychyliwszy się z powozu i sobą otwór z tej strony wypełniając. Mimo ciemności, dostrzegł dwóch ludzi biegnących przed powozem którzy natychminst w gęstwinie leśnej utonęli. Jednym był *Wild-Irish* już przebrany. Po chodzie skaczącym. Tankred w drugim poznał z łatwością Unkasa. Teraz prawdziwy pocztyljon w pełnym rynsztunku, wsiadł na kozioł i konie galopem poleciały. Reginald niczego się nie domyślił. Noc przeszła wszystkim w milczeniu.

Ze wschodem słońca, nasi podróżni wjechali w okolicę więcej ponurą ale nie mniej malowniczą.

Tu jeszcze zdawał się zupełny spokój panować. Stada bydła pięknego i koni pasły się przez pół tonąc w morzu zieleni. Tankred zdziwił się widząc i tu wojsko.

— *Si vis pacem, para bellum* – odpowiedział Reginald. — Przedsiębraliśmy środki ostrożności w tym celu jedynie, aby oszczędzić krajowi nieszczęśliwemu nowych zaburzeń Anglja chce być niezwalczoną aby mogła okazać się sprawiedliwą.

Te słowa wymówił zwrócony ku Edwardowi, który jednak nic na to nie odpowiedział Na wzniesieniu zarysowały się wreszcie domostwa bardzo nędznego miasteczka Killala, po nad któremi wznosił się na szczycie samym pałac biskupi. Była to niegdyś siedziba jednego z królów irlandzkich.

Dzięki opowiadaniom Reginalda nasi podróżni znali na wylot miejscowego biskupa, z całą jego liczną rodziną. Nazywał się on Gomby, a tak był pełnym miłosierdzia, chrześciańskiej wybaczliwości i tolerancji w drażliwych kwestjach religijnych, że potrafił zyskać miłość i zaufanie nawet w katolikach, mieszkających w jego dyecezji. Był to człowiek cnót wielkich, przytem serdeczny, prostoduszny a nawet lubiący wesołe towarzystwo. Świecił przykładem w przymiotach prowadzących prosto do nieba, jak i niemniej w sprawach ziemi dotyczących. Trzymając się ściśle słów Pisma Św: »*Crescite et multiplicamini*«, zostawszy wdowcem, był szczęśliwym ojcem szesnaściorga dzieci żyjących, tęgich i zdrowych jak Bóg przykazał; z tych siedem córek już dorosłych, które inaczej nie nazywano tylko siedmioma cudami w Killala

Uprzedzony o przybyciu miłych gości, zacny prałat czekał ich na terasie pałacowej, otoczony wieńcem swojego potomstwa.

Niepodobna sobie wyobrazić coś więcej patrjarchalnego, podniosłego i rzewnego. Córki były istotnie prześliczne. Najstarsza nie miała jeszcze więcej niż lat dwadzieścia i dwa Były to czystej krwi Irlandki w pełnym kwiecie

Chłopaki nie ustępowali siostrom w piękności, tylko płeć mieli smaglejszą, włos ciemniejszy, rysy wybitniejsze i minę dziarską co się zowie Ojciec, starzec blisko siedmdziesięcio letni był jeszcze świeży i pulchny z włosami jak mleko.

— Kuzynie! — przemówił do Reginalda — witaj pod namiotem Abrahama i zapoznaj mnie proszę z tą, którą sobie wybrałeś na dozgonną towarzyszkę.

Łucja naprzód się wysunęła.

— Drogie dziecię! — wzniósł nad nią białe dłonie, szepcząc słowa modlitwy — sługa Boży wzywa na twoją piękną główkę wszelkie błogosławieństwo, bliskiemu zaś krewnemu pozwól uściskać się serdecznie

Chwycił ją w objęcie i złożył na jasnem czole ojcowski pocałunek, poczem oddając pod opiekę córkom najstarszym:

— Zuziu! Noemi! — dodał — zaprowadźcież kuzyneczkę do pokojów dla niej przygotowanych i proście, aby raczyła rozgościć się pod naszym dachem.

Trzy gracje zniknęły w głębi domu. Tankred pod ramię z Edwardem, który z nimi jechał jako Francuz poprosili Reginalda, żeby raczył ich przedstawić biskupowi.

— List mój — przemówił tenże — zapowiadał szanownemu wujowi, tych dwóch panów.. margrabia Grandlieu, hrabia Gaillefontaine, wychodźcy francuzcy.

Wymieniono nawzajem mnóstwo grzeczności i serdeczności, w czem i wszystkie dzieci wzięły udział.

Stojąc na stopniach ganku, podawały ręce przybyszom, na sposób angielski, ale z irlandzką serdecznością. Poczem wszyscy trzej panowie przeszli do salonu. Gospodarz chwilkę dłużej się zatrzymał:

— Lia! — polecił trzeciej córce z kolei — dopilnuj, żebyśmy mogli rychło czemś się posilić; reszta dziatwy, niech wróci do swoich codziennych zatrudnień Ruth, zaopiekuj się proszę Benjaminką.

Była to ostatnia, najmłodsza. Istny jasnowłosy Cherubinek!

Na głos ojca łagodny, pierzchło na wsze strony całe gniazdko ptasząt.

— Raczcie mi wybaczyć panowie — rzekł gospodarz wchodząc do salonu — Matki już nie mają! Czytaliście arcydzieło mojego przyjaciela Goldsmith'a? Otóż myślę, razem z wikarem Wakiefield, że człowiek uczciwy, który się żeni i wychowuje po bożemu liczne potomstwo, oddaje większą przysługę społeczeństwu, niż bezżenny asceta, wciągający tylko do ksiąg metrykalnych dzieci na świat przychodzące. Moje dziatki, a jest tego z łaski Bożej szesnaścioro wydają mi się najpiękniejszym darem, dla kraju uczynionym, i tyleż tobie życzę kuzynie, gdy będziesz w moich latach. Ci panowie czy także wstąpili w moje ślady?

— Jestem mężem i ojcem! — szepnął głosem drżącym margrabia Grandlieu

— Co do mnie, najprawdopodobniej nigdy nie będę żonatym — wyznał Tankred z smętnym uśmiechem. — Proszę mi jednak tego za grzech nie poczytać!.. Wychodźca!.. Wygnaniec!...

Słowa ostatnie, podkreślone niejako, miały przypominąć Reginaldowi brak czasu i nagłość sytuacji.

— Moi przyjaciele — odezwał się Reginald — chcą odjeżdżać natychmiast, aby wsiąść na statek amerykański, który musiał już zawinąć do zatoki...

— W rzeczy samej — biskup skinął głową — od tygodnia zarzucił on kotwicę.

Edward i Tankred powstali, jakby gotując się do odjazdu. Gospodarz jednak nie chciał pozwolić na coś podobnego.

— Ho! ho! ho! zwolna panowie! — ramiona rozwarł. — Musicie przecież rozgościć się pod moim dachem. Pokoje gotowe czekają na was!

Daremnie wymawiał się i tłumaczył Gaillefontaine że kapitan statku czeka na nich tak długo, i zapewne bardzo się niecierpliwi. Biskup nie dał mu skończyć:

— Panowie nie wiecie zapewne, iż do zatoki jeszcze dobre trzy mile! Po nocy, bezsennie w podróży spędzonej, jest się głodnym piekielnie! Musicie u mnie zjeść obiad przynajmniej. Bez tego się nie obejdzie! Tak jak Józef, gdy oczekiwał braci swoich, powiedziałem mojemu kuchmistrzowi: „Uśmierć rozliczne ofiary i zgotuj ucztę, albowiem zjedzą obiad w samo południe.“

— Ależ..

— Tu nie ma żadnego ale!... Oto dzwonią w kościółku katolickim na Anioł Pański. Za kwadrans panowie odmówimy *Benedicite*...

(Ciąg dalszy nastąpi).

NAPOLEON BONAPARTE

przez

H. Taine'a.

(Ciąg dalszy.)

Słowa jego tryskające życiem, pozbawione ostrożności i rozwagi, płyną szerokim potokiem wtedy nawet, gdy poczucie godności nakazywało je powstrzymać; zarówno jednak dusza jego, jak umysł, rozpływały się w tych deklamatorskich występach, w których improwizator lub zręczny polemista zastępował miejsce dyplomaty i męża stanu. Według trafnego w spostrzeżeniach swych de Pradt'a, potrzeba mówienia była tak wrodzoną Napoleonowi, że do najwyższych przywilejów swego stanowiska zaliczał on możność ciągłego zabierania głosu, bez obawy, iż ktokolwiek ośmieli się przerwać mu zbyt długą nieraz przemowę. Uniesiony wrodzoną tą słabostką, ulegał jej na radzie stanu nawet, a zapominając o głównym przedmiocie, odbiegał od niego, rzucał się na lewo, na prawo, dowodził przez dwie, trzy godziny, nalegał, powtarzał się, byle tylko przekonać i zwyciężyć. Nic też dziwnego, że zapytani pod koniec o zdanie członkowie zgromadzenia przyznawali mu zawsze słuszność; pozorna ich wszakże uległość nie zaślepiała Napoleona; ochłonąwszy z krasomówczego zapału, zwykł był oceniać należycie podobne ustępstwa, wskazując zaś na fotel swój, mawiał: „Przyznajcie, że miejsce to każdemu dodałoby sprytu.“ Pomimo jednak tych błysków zdrowego rozsądku, namiętność unosi go o tyle, iż nie jest w stanie położyć jej tamy.

„Nerwy moje są tak drażliwe“ — mawiał sam nieraz, — „że gdyby krew krążyła mi nieco szybciej w żyłach, musiałbym oszaleć chyba.“ — Często też, wobec nagromadzenia zbyt wielkiej liczby wrażeń, naprężenie systemu nerwowego dochodzi do tego stopnia, iż przejawia się atakiem konwulsyj poprostu. Rzecz dziwna! U takiego jednak męża stanu i wojownika „łatwo było dostrzedz łzę w chwilach wzruszenia.“ On, który widział konanie tysięcy ludzi, który miljony zabijać kazał — po bitwie pod Wagram i Bautzen zanosi się od łkań u wezgłowia umierającego towarzysza. „Gdy opuścił marszałka Lannes“ — opowiada jeden z pokojowców — „widziałem go płaczącego przez cały czas śniadania. Łzy jak groch duże staczały mu się po licach, spadając na talerz z jedzeniem.“ — To już nie wrażenie fizyczne, nie prosty widok ciała zdruzgotanego i krwią broczącego wstrząsa nim tak potężnie, wzrusza najgłębszą istotą człowieka; nie — jedno słowo rzucone przez ofiarę, jedna myśl czasem staje się żądłem, wnikającem do tajników jego duszy. Zapał Dandola, błagającego o litość nad ojczyzną, nad Wenecją sprzedaną Austrji, wywołuje mgłę wilgotną na oczy Napoleona. Gdy przychodzi mu zawiadomić radę stanu o poddaniu się Baylen'a, głos jego drży, a boleść zdradza się łzami, których powstrzymać nie umie. Pożegnanie z Józefiną, przed wyprawą w roku 1812, doprowadza go do rozrzewnienia, zakończonego spazmami i atakiem nerwowym, który wkońcu przyprawia go o gwałtowne wymioty. „Trzeba go było posadzić“ — opowiada jeden ze świadków naocznych — „napoić kwiatem pomarańczowym, kojąc wzburzenie, trwające kwadrans przeszło.“

Takim samym atakiem nerwów i żołądka przypłaca w roku 1808 postanowienie rozwodu; przez całą noc rozczula się, niepokoi i płacze jak kobieta; ująwszy żonę w ramiona, całuje ją, obsypuje pieszczotami i okazuje się słabszym od niej: „Biedna moja Józefino“ — woła — „ja cię nigdy nie potrafię opuścić!“ — I tuląc ją do piersi, odurzony wrażeniem chwili obecnej, pragnie, aby pozostali tak zawsze, jednym złączeni uściskiem. Gdy udali się wreszcie na spoczynek, „literalnie“ — pisze cesarzowa — „łóżko całe łzami zalewał.“

Organizm to tak złożony widocznie, iż pomimo silnej woli, trzymającej go w okowach, równowaga musi się w nim zachwiać od czasu do czasu. Napoleon wie zresztą o tem, każdy bowiem szczegół, dotyczący jego własnej osoby, doskonale jest mu znanym; boi się też tej wrażliwości nerwowej, tak, jak się lęka konia płochliwego. W chwilach krytycznego przełomu, nad Berezyną naprzykład, nie chcąc jej poruszyć i zadrażnić, odpycha rozmyślnie złe wieści, a gońcowi, który nalegając kładzie pewien nacisk na nie, robi uwagę: „Czy chcesz pan koniecznie zachwiać mój spokój?“

A jednak, pomimo wszelkich ostrożności, dwa razy w życiu został silnie zbity z toru. Co prawda niebezpieczeństwo było nieprzewidziane, a przytem nietylko szpetne, ale zupełnie nowego rodzaju; nieobeznany też z burzą parlamentarną lub narodową, Napoleon, tak przywykły do gradu kul, najodważniejszy z bohaterów wojskowych, najśmielszy z awanturników politycznych, wobec zguby, jaka mu nagle błysnęła przed oczyma, stracił dwukrotnie przytomność. Gdy 18 *brumaire'a* zabrzmiał w zgromadzeniu prawodawczem okrzyk: „wyjęty z pod prawa!“ — Bonaparte pobladł, zadrżał i tak dalece nie wiedział co ma uczynić, iż należało go wyprowadzić z sali, zachodziła bowiem obawa, aby nie zemdlał przy wszystkich. Po abdykacji w Fontainebleau powtarza się to samo, wobec zaś złorzeczeń, jakiemi przyjęła go rozdrażniona Prowancja, istota moralna cesarza uległa zupełnemu rozprężeniu, uwydatniając tem silniej ukryte na dnie jej instynkta zwierzęce. Strach zawładnął nim do tego stopnia, iż nie próbował go ukrywać nawet. Pożyczywszy mundur pułkownika austrjackiego, czapkę pruskiego żołnierza, a płaszcz komisarza

rosyjskiego, sądzi, że nie jest jeszcze dostatecznie przebranym. W zajeździe Calade drży i mieni się na odgłos najlżejszego szmeru. „Ile razy delegaci rządowi wchodzili do pokoju cesarza, zastawali go zawsze we łzach,“ męczył ich przytem niepokojem swym i brakiem stanowczości dowodząc zaś iż francuzcy przedstawiciele władzy chcą go kazać zamordować w drodze, raz nie chciał siąść do stołu z obawy przed trucizną, drugi raz zaś myślał o ucieczce przez okno.

Pomimo wszakże ciosu, jaki weń uderzył, pomimo ciężkich warunków — skłonności retora i w takiej nawet przeważały chwili. Zgnębiony, pociesza się długiemi przemowami, wizerza się i jak prosty gaduła, rozwodzi nad przeszłością, nad własnem usposobieniem; czyni to zaś w sposób pospolity, trywialny, nieprzyzwoity nawet, w sposób zdradzający rozwiązłego cynika, który nie umie nad własnemi panować słowami; myśli też jego, rozprzężone, cisną się jedna na drugą jak motłoch anarchiczny. Napoleon próbuje zawładnąć niemi dopiero pod koniec podróży, gdy uczuł się bezpiecznym nareszcie; buntownicze władze umysłowe wracają do zwykłych ram i porządku, pod rozkazy potężnej woli, która po krótkiej niemocy odzyskuje energię swą i przewagę.

(Ciąg dalszy nastąpi).

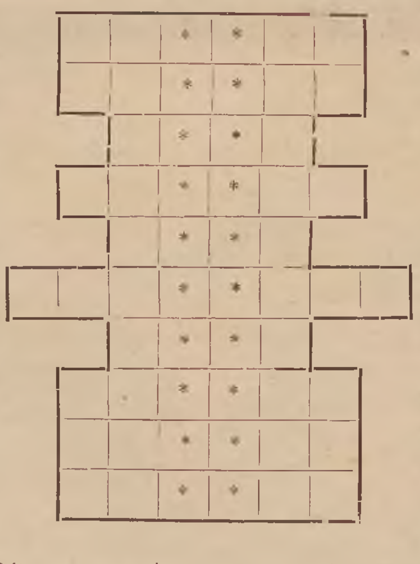
PORADNIK DOMOWY.

Próba rzemienia na pasy. Staranne utrzymywanie pasów maszynowych, oraz zapobieganie obsuwaniu się takowych.

Dobroć pasów maszynowych rozpoznaje się po namoczeniu ich w occie. Probuje się na kawałku, grubości mniej więcej jednego milimetra. Jeżeli skóra jest dobrze wygarbowana i wykręcona, może pozostawać w occie kilka miesięcy bez żadnej zmiany, zaledwie pociemnieje tylko na kolorze. Przeciwnie, skóra w złym gatunku, niedostatecznym przejęta garbnikiem, pęcznieje, rozkłada się i wkrótce przechodzi w jedną kleistą masę. Spadaniu pasów maszynowych zapobiegają niekiedy posypywaniem osi sproszkowaną żywicą. Proceder ten jednak zbytnio się nie zaleca, gdyż wszelkie żywice źle oddziaływują na skórę a powtóre żywica topnieje, przyjmuje kurz i plewy, z czego formują się na walcu różne naleciałości w postaci nieforemnych grudek, rozciągających pas i utrudniających jego funkcję. W tym celu, jak również w chęci dłuższego zakonserwowania skóry, zamiast żywicy, używano w wielu razach sadła, którem smarowano spodnią część pasa. Rzemień przytem pęcznieje, wskutek czego ciśnie i przelega mocniej Sadło w niektórych fabrykach zastępują tranem; wszystkie te środki jednak, jak wykazuje praktyka, ustępują w skuteczności przed naftą Zaleca się przy tem smarowanie naftą jedynie strony zewnętrznej pasa, która jako obwodowa, znacznie większy wytrzymuje napór i zazwyczaj daje początek pękaniu skóry od siebie. Przy tym sposobie spodnia strona pasa jest sucha lub zaledwie zlekka wilgotnawa, formowanie się więc wspomnianych wyżej grudek miejsca mieć nie może Nafta ma te własności, iż przy funkcjonowaniu pasów w miejscu bardzo suchem utrzymuje je w stanie pożądanej giętkości, podczas, gdy skórę wystawioną na ustawiczną wilgoć, zabezpiecza od pleśni i zepsucia. Napuszcza się naftę na pas mniej więcej co 10 dni, co wreszcie zależy od ilości wykonywanej pracy, oraz miejscowych warunków atmosferycznych

Łamigłówka.

(ułożył p. Wiktor Alszer z Jarosławia)



1) Rzeczka w Szwecji
2) Państewko w Indjach wschodnich
3) Znajduje się na pustyni
4) Wiatr
5) Pasmo gór
6) Miasto w poznańs
7) Miasto w górnej Austrji
8) Dopływ Dunaju
9) Wyspy Oceanu Spokojnego
10) Miasto w Syberji

Litery pomocnicze: a a, e, e, i, k, k, l, l, l, n, r, r, r, r, s, u, w, z, y, trzeba stosownie umieścić w miejscach oznaczonych krzyżykami. Litery początkowe i końcowe dadzą nazwisko i imię, tłumacza dzieł obcych z XVIII. wieku.

Zadanie konikowe.

(ułożył p. Matwij).

to	ki	a	ny	kie	da	rzel	czą
tki	ła	nasz	wo	wgo	ję	dy	wód
wód	pi	krzy	szne	wo	da	chło	niach
czą	smu	dy	kraj	pi	stra	ka	wo

Łamigłówka.

(ułożył p Illukiewicz ze Lwowa).

1 miasto Galicji, 2 imię żydowskie, 3. Jenerał rosyjski sławny okrucieństwami, 4. powieść Kraszewskiego, 5. narzędzie techniczne, 6. mieszkaniec Afryki, 7. imię męskie wspak 8 rzeka litewska, 9 gatunek wódki, 10. potrawa mięsna, 11 bożek Egipcjan (ptak).

Początkowe litery tych nazw z góry nadół czytane, dadzą nazwisko króla pruskiego, zaś końcowe z dołu do góry czytane dadzą nazwę miasta w Galicji.

Jako premjum za rozwiązanie, przeznaczamy **powieść Marji Grochowalskiej „Złamany a nieugięty“**

Rozwiązanie kwadratu magicznego.

B	u	s	k
U	ł	a	n
S	a	j	o
K	n	o	t

Rozwiązanie akrostychonu.

Poważny — komiczny; idealizm — realizm; sojusznik — antagonista; niemoc — siła; gorący — zimny; humoreska — elegia; pokój — wojna; otwarty — skryty; niewinny — karygodny; przeświadczenie — imaginacja. **Kraszewski.**

Rozwiązanie kwadratu magicznego i akrostychonu nadesłali: p. Wanda Kopacz ze Stanisławowa, p. Jan Feliks Biliński z Horodenki, p. Marya Bernacka z Krakowa, p. Kazimiera Oświecimska z Jawora.

Kwadratu magicznego p Aleksander Godel słuchacz praw z Przemyśla, p. Stanisław Faliszewski z Zaleszczyk.

Po zarządzonem losowaniu otrzymała premję p. **Kazimiera Oświecimska.**

Celem sprawiedliwszego rozdziału premij między naszych prenumeratorów, postanawiamy odtąd, iż w ciągu kwartału można jedynie raz otrzymać premję za rozwiązanie łamigłówek.

Z drukarni nar. W. Manieckiego. Wydawca: Józef Rogosz Zarządca drukarni i odpowiedzialny redaktor: Walenty Hodak.